

# Ten „straszny” Chennai

*W Chennai spędziłem ponad miesiąc. A konkretnie w The Santa Ayurveda Hospital, do którego pojechałem na podreperowanie kręgosłupa. Czas poza zabiegami spędzałem na szpitalnym tarasie i na krótkich spacerach po dzielnicy T. Nagar. Miałem z niego doskonały punkt obserwacyjny na tarasy okolicznych domów, na których toczyło się - od rana do wieczora - codzienne życie ich mieszkańców. Z tych obserwacji powstała mozaika impresji na temat tego miasta i napotkanych ludzi.*

*W moich zapiskach czytelnik nie znajdzie porad i sugestii w rodzaju: gdzie zjeść i co zobaczyć. Nie ma w nich informacji o hotelach, muzeach, zabytkach, komunikacji tak charakterystycznych dla tzw. twórczości podróżniczej. Chciałem w nich oddać uchwycony przeze mnie klimat Chennai, bo jest to miasto, które - jak całe Indie - można znienawidzić lub pokochać. Dziś stwierdzam, że nie wybrałem żadnej z tych opcji. Tkwię gdzieś w zawieszaniu pomiędzy „kocham” i „nienawidzę”.*

## Ulice i tarasy

Wyobraźmy sobie kilka mega wsi połączonych w jeden kilkumilionowy organizm czterema ulicami. Bez centrum charakterystycznego dla każdego miasta. To Chennai zwane niegdyś Madrasem. Rozpostarta nad Zatoką Bengalską, jak wielogłowy smok, stolica stanu *Tamil Nadu*.

Dla Europejczyka Chennai jest miastem jak z sennego koszmaru. Zwłaszcza jeśli chce sobie pospacerować i "podziwiać" jego wątpliwe uroki. Myśli sobie naiwnie, że - tak jak w Europie - chodnik jest miejscem dla pieszych. Nic bardziej mylnego.

W Chennai na chodnikach handluje się, śpi, parkuje samochody, gromadzi śmieci, materiały budowlane itd. Pieszy jest tu niemile widzianym intruzem, który w karkołomnym slalomie musi omijać te wszystkie przeszkody patrząc przy okazji, czy nie wlezie w odkrytą studzienkę kanalizacyjną albo nie potknie się o półmetrowej wysokości krawężnik lub śpiącego na trotuarze bezdomnego. Do tego ta przeraźliwa kakofonia klaksonów samochodów, motocykli, autobusów, *autoriksh* atakująca bębni z siłą pneumatycznego młota...

Po kilkunastu minutach spaceru ma tylko jedno pragnienie, wyrwać się gdzieś, gdzie jest cicho i spokojnie, bo jeśli nie jesteś mieszkańcem tego - czwartego co do wielkości miasta w Indiach - nie jesteś tego w stanie znieść. I ten zapach, charakterystyczny dla każdej wielkiej indyjskiej aglomeracji. Woń sandałowych kadzidełek zmieszana z zapachem jaśminu i innych ofiarnych kwiatów i przyrządzanych potraw ze smrodem gnijących w rynsztokach resztek i odorem spalin.

Przechodząc zaś przez ulicę Europejczyk powinien mieć oczy dookoła głowy, bo każdy tu jeździ jak chce i gdzie chce. Kierowca pojazdu mając czerwone światło na skrzyżowaniu powinien teoretycznie przepuścić pieszych, ale to tylko teoria - w mniemaniu kierowców całkowicie zbędna. Jeśli Europejczyk chce przejść przez ulicę, musi zapomnieć o wszelkich przyzwyczajeniach, że „czerwone” to stój, a „zielone” - idź. Jak zatem w miarę bezpiecznie przejść? Najlepiej polegać na intuicji i bacznie obserwować jak robią to tubylcy. Kiedy już znajdzie się na jezdni, w objęciach mknącego i trąbiącego węża pojazdów, musi zaufać zarówno własnej - jak i innych - spostrzegawczości oraz sprawności własnych nóg.

Mój szpital leżał w dzielnicy *T. Nagar*. Jak powiedział Chandra, menadżer szpitala, jest to dzielnica zamieszkiwana przez klasę średnią. Oczywiście w indyjskim rozumieniu. Pełno w niej apartamentowców, w których stopa kwadratowa powierzchni mieszkania kosztuje 1000 rupii i więcej. Obok nich ekskluzywne hotele kipiące od złotych kiczowatych zdobień. Każdy z nich z „obowiązkową” fontanną na podjeździe i tłumem odźwiernych, bagażowych, ochroniarzy w mundurach jak z operetki oraz bliżej niezidentyfikowanych osób, które z pełną powagą miną oczekują na gości. Jednak wystarczy zboczyć kilkanaście metrów od ulicy, by dostrzec i poczuć slumsy z ich przeraźliwą biedą i smrodem. Te dwa światy są jak awers i rewers tej samej monety. Tak bardzo

różne a jednak stanowiące całość.

Wczesnym rankiem lubiłem obserwować ze szpitalnego tarasu moich sąsiadów krzątających się wokół swoich codziennych spraw. Oczywiście też na tarasach. Moją szczególną uwagę przykuła nastoletnia piękność. Codziennie rano o tej samej godzinie karmiła ptaki wysypując ziarnka ryżu na liść bananowca. Przywoływała je dźwiękiem podobnym do nawoływania puszczyka. Była też matrona w średnim wieku pokrzykująca na męża i dzieci udających się do pracy i szkoły. Na początku myślałem, że jej krzyk jest przejawem złości lub zdenerwowania. Potem jednak zrozumiałem, że może być specyficzną formą czułości i troski okazywanej bliskim.

Galerię kobiecych postaci uzupełniał młody mężczyzna, którego nazwałem „kulturystą”. Kilka razy dziennie ćwiczył z różnymi przyrządami. Po zakończeniu ćwiczeń stawał przed lustrem i prężył przed nim swoje bicepsy. Potem długo się mył. Najpierw mydlił głowę. Potem tors, nogi i ręce. Starannie, z namaszczeniem. Na koniec polewał całe ciało wodą zaczerpniętą kubkiem z plastikowego, czerwonego wiadra. Nigdy nie używał ręcznika. Po ablucjach stawał przez dłuższą chwilę na słońcu z rękoma wzniesionymi ku górze. Jak gladiator po zwycięskiej walce.

### **Rikszarze - „bohaterowie” miasta**

Chennai budzi się jeszcze przed świtem. Uliczny hałas powoli, falami, uderza w okna domów i uszy pieszych. Przy wózkach z herbatą i drobnymi przekąskami gromadzą się pierwsi klienci. Najczęściej są to kierowcy *autoriksh*, personel okolicznych sklepów i firemek, właściciele drobnych kramików z owocami i kwiatami na *pudzie*, uliczni krawcy, szewcy, prasowacze używający jeszcze ogromnych, metalowych żelazek z „duszą”. Piją w papierowych kubkach lub szklankach przeraźliwie słodką herbatę. Nikt się nie przejmuje tym, że woda do płukania szklanek nabiera po pewnym czasie ciemnobrunatnego koloru.

Jest to ich pierwszy posiłek często zastępujący śniadanie. Ma dwie zalety, jest kaloryczny i tani. Kubek herbaty kosztuje tylko 8 rupii, czyli kilkadziesiąt groszy i wielu z nich musi wystarczyć do obiadu. „Szczęściarze” zagryzają zimnymi *samosami*, bananami lub ciastkami dorównującymi twardością diamentowi. Niektórzy ćmią kupowane na sztuki papierosy, wymieniając przy tym najświeższe plotki.

Nie ma wśród nich „białych kołnierzyków”. Ci jeszcze śpią przewracając się z boku na bok w klimatyzowanych mieszkaniach. W Chennai można zarobić, ale też koszty utrzymania są o wiele wyższe, niż na wsiach, z których pochodzą przybysze. Codziennie przyjeżdża ich wiele tysięcy, dlatego tak trudno określić rzeczywistą populację miasta. Zamożniejsi wynajmują pokoje lub mieszkania. Przeważnie jednak koczują w slumsach usytuowanych nad kanałami i nad Zatoką Bengalską. W „domach” zbudowanych ze znalezionych na wysypiskach odpadów i przykrytych charakterystyczną niebieską, brezentową płachtą. Bez bieżącej wody, elektryczności i kanalizacji.

Nietypowym przykładem jest Rajendra, jeden z kierowców *autoriksh*, mieszkający wraz z żoną i trójką dzieci w Tambaram oddalonym od Chennai o 30 kilometrów. Z dumą podkreśla, że mieszka w „prawdziwym domu”, co według europejskich standardów zapewne oznacza dwuizbową budę, zbudowaną własnym sumptem z cegieł po rozbiórkach. *Autoriksha* nie jest jego własnością. Tylko nielicznych stać na kupno własnej. Dzierżawi ją - podobnie jak wielu jego kolegów - od właściciela firmy za 55 % miesięcznego utargu. Podkreśla przy tym, że to dobre rozwiązanie, bo inni muszą płacić stały, niezależny od zarobków, miesięczny ryczałt wynoszący nierzadko kilka tysięcy rupii. Są bowiem takie dni, że zarabiają bardzo mało.

Kiedy jest ich więcej to prawdziwa bieda, bo właściciel nie chce poczekać na zapłatę ryczałtu. On zaś z każdej dniówki ma dla siebie przeciętnie 500 rupii czyli ok. 9 dolarów. To jednak wystarcza zaledwie na zaspokojenie najprostszyc potrzeb jego rodziny. Dlatego lubi wozić zagranicznych turystów. Na jednym kursie, na dystansie 10 km, może zarobić nawet 300 rupii. Trzykrotnie więcej, niż według wskazań taksometru. Podkreśla przy tym, że nie jest to oszustwo, bo „każdy może z nim przed jazdą ustalić ostateczną kwotę za przejazd, a jeśli tego nie robi to jego strata”.

Rozmawiamy łamaną angielszczyzną, bo Rajendra zna tylko kilkadziesiąt podstawowych słów w tym języku, co i tak jest chlubnym wyjątkiem. Większość jego kolegów rozumie wyłącznie *yes* i *no*. Nie mówi też w hindi, co staje się poważnym problemem, kiedy trafia się podróżny z innego stanu np. *Gudżaratu* czy *Maharasztry*. Czasami w takich sytuacjach pomagają bardziej wykształceni koledzy. Najczęściej uniwersalnym językiem pozostaje język migowy okraszony kilkoma angielskimi słowami i zwrotami. Trochę komiczna sytuacja, Hindus z Hindusem rozmawia „na migi”. Pytam go, co lubi robić w wolnych chwilach. „*Zjeść dobry obiad, pobawić się z dziećmi. I koniecznie po obiedzie zapalić jointa*” - odpowiada, szelmowsko mrużąc oczy, jakby już się zaciągał „*gandzią*”.

## **Deszcz**

Synoptycy zapowiadali przelotny deszcz już od kilku dni. Niż miał nadciągnąć od strony Morza Andamańskiego nad Zatokę Bengalską. Jego nadejście zwiastowały koszmarny upał, wilgotność dochodząca do 100 % i obezwładniający ból głowy.

Zaczęło padać we wtorek, po południu. Najpierw po kilkanaście kropel, które turlały się po rozgrzanym asfalcie jak szklane kulki oblepione ulicznym brudem. Lunęło pod wieczór. I jeśli był to przelotny deszczyk - jak mówiła pogodynka z CNN/IBN - to nasze europejskie ulewy są w porównaniu z nim, „kapuśniakiem”. Ulice błyskawicznie wypełniły się deszczówką. „*Nasza*” *North Boag Road* już po kilkunastu minutach przypominała rwący Dunajec wiosną. Płynąca między krawężnikami woda porywała uliczny brud niosąc go do studzienek burzowych, które zapchały się już po kilkunastu minutach. Wolno sunące w jej potokach samochody i autobusy zamieniły się w małe arki Noego ratujące swych pasażerów przed potopem.

Lało przez całą noc i poranek następnego dnia. Kiedy w środę o świcie wyszedłem na szpitalny taras, poczułem, że powietrze jest nareszcie rześkie. Nie czuło się charakterystycznego dla Chennai zapachu pyłu zatykającego nos i każdą porę skóry. Z masztu przy nieodległym posterunku policji smętnie zwisała mokra trójkolorowa *tiranga*. Zamarła aktywność na tarasach sąsiednich domów. Jedynie, jak zwykle o tej porze, dziewczyna przywoływała na śniadanie ptaki, zwabiając je nawoływaniem przypominającym odgłos puszczyka.

Z kilkunastometrowego drzewa mangowego rosnącego obok szpitala sfrunął na taras myszołów poszukujący suchego miejsca, gdzie mógłby osuszyć skrzydła. Przycupnął kilka metrów ode mnie, pod okapem, rozpościerając mokre upierzenie. Po chwili odleciał przecinając swym lotem powietrzny balet tęczowo-skrzydłych ważek. Według telewizyjnych „zapowiadaczy pogody” przestanie padać w piątek i skończy się „laba” dla dzieciaków, które z powodu sporych opadów miały wolne od zajęć szkolnych.

## **Surash**

Surash ma 26 lat. Jest moim masażystą i fizjoterapeutą. Pochodzi z małej keralskiej wioski pod Trivandrum. Do pracy w *Shanta Ayurveda Hospital* ściągnął go ordynator szpitala. Mówi, że nie chciał - jak wielu jego kolegów - wyjeżdżać do pracy na Półwysep Arabski. Do Emiratów, Dubaju czy Kataru. „*Arabowie bardzo dobrze płacą, ale nie szanują Hindusów. Traktują ich czasami jak niewolników. Zwłaszcza robotników fizycznych, personel hotelowy czy osoby zatrudnione jako tzw. pomoc domową. Nierzadko sponsorzy ich wyjazdów zabierają im paszporty i każą pracować po kilkanaście godzin dziennie*” - opowiada. „*Ja nie mógłbym tego znieść. Ukończyłem szkołę średnią, 3-letni kurs ayurwedy dla fizjoterapeutów i znam cztery języki. Nie chcę być niewolnikiem!*” - dodaje z nieskrywaną złością.

Pytam go, czy jest żonaty. „*O nie, ślub bardzo dużo kosztuje. Przeciętnie 10 milionów rupii czyli jakieś 17 tys. dolarów*” - stwierdza. Przyznaje jednak, że zdecydowaną większość kosztów ślubu ponosi rodzina panny młodej. Taka indyjska tradycja, która mimo widocznych w Indiach zmian w kwestiach społecznych czy obyczajowych, nadal jest kultywowana. Ma jednak dziewczynę i oboje chcą się pobrać, ale nie powiedzieli o tym na razie swoim rodzicom.

Suresh najpierw chce odłożyć pieniądze na mieszkanie w Chennai. Na początek dwupokojowe, czyli jakieś 30 metrów kwadratowych. Kiedy pytam, dlaczego chce zostać w tym mieście, a nie powrócić do Kerali odpowiada, że w Chennai jest więcej możliwości znalezienia dobrze płatnej pracy w jego zawodzie. *„A do Trivandrum nie jest przecież daleko. Zaledwie noc jazdy pociągiem. Jestem w domu przynajmniej raz w miesiącu”* - podkreśla.

Surash jest politycznie bardzo wyrobiony. Codziennie ogląda wieczorne wiadomości w ogólnokrajowej CNN/IBN. I choć jest zdecydowanym zwolennikiem Partii Kongresowej podziwia Narendę Modiego, obecnego premiera z BJP. *„On jest dobry. Chce zrobić wiele dobrego dla kraju, zwłaszcza dla wsi. Jednak otoczył się podejrzanymi ludźmi”* - mówi. Pytany o to, kogo ma na myśli, nie chce powiedzieć. Domyślać się mogę jedynie, sądząc po jego politycznych poglądach, że może myślał o Indyjskiej Partii Nacjonalistycznej, której politycy zasłynęli z ksenofobicznych, rasistowskich wypowiedzi. Zwłaszcza pod adresem muzułmanów. Co lubi? Ćwiczenia, dlatego codziennie wieczorem chodzi na siłownię, choć jest bardzo szczupły i silny. *„To pozwala mi zrelaksować się po całym dniu pracy. No i można pogadać ze znajomymi”* - dodaje. Faktycznie, uścisk dłoni ma stalowy.

## **Marina Beach**

Tylko kompletny idiota albo ktoś, kto nigdy tam nie był, może nazwać miejską część *Marina Beach* - *„rajem dla tych, którzy lubią kąpiele w morzu, na słońcu czy spacerować wzdłuż brzegu”*. Wiele przewodników reklamuje ją jako jedną z dziesięciu atrakcji Chennai, którą każdy turysta powinien odwiedzić.

A tymczasem zamiast złotego piasku, ciszy i spokoju jest jeden wielki śmietnik, po którym przewalają się tłumy tubylców. Odstępuje już samo dojście do brzegów Zatoki Bengalskiej od strony *Marina Beach Road*. Prowadzi do niego alejka, wzdłuż której stoją zbudowane z czego się da stragany. Jedne oferują owoce i soki, inne, smażone na poczekaniu świeże ryby otoczone czerwoną warstwą *chili*. Można się tu zaopatrzyć w okulary przeciwsłoneczne, pirackie gry komputerowe i płyty CD.

Dla chętnych chcących rozładować stres związany ze spacerem tą drogą są strzelnice, w których można postrzelać do kolorowych baloników i wygrać np. pluszową małąkę, wyliniałą co nieco od słońca i tarmoszenia przez dzieciaki. Nad samym brzegiem jest głośno i śmierdzi spalonym olejem, zapachem spoconych ciał i gotowaną w wielkich garach ciecierzycą. Kiedy już myślisz, że za chwilę zanurzysz stopy w morskiej wodzie, dopada cię trzech tamilskich „kowbojów” oferujących za 300 rupii (5 \$) kilkunastominutową przejażdżkę na zabiedzonych kucach, które samym widokiem wzbudzają wściekłość przemieszana z współczuciem. Wściekłość oczywiście na właścicieli, którzy doprowadzili konie do takiego stanu.

Załóżmy naiwnie, że po tych wszystkich przygodach chcesz się wykąpać lub choćby pospacerować w wodzie. Błędna koncepcja biorąca się z założenia, że morze jest po to, by się w nim m.in. wykąpać. Niewiele osób się kąpie i są to prawie zawsze nastoletni Tamilowie chcący może popisać się przed kolegami czy dziewczynami. Cała reszta nawet się do wody nie zbliża, bo wie, że Zatoka Bengalska w tym miejscu to jedna wielka kloaka. Ujście dla nieczystości z całej metropolii. Spacerując po stercie śmieci, opakowań po napojach, lodach, nieprzeliczonej liczbie gumowych kłapek plażowych i gnijących na słońcu resztkach jedzenia, zadajesz sobie jedno pytanie - Co skłania tysiące mieszkańców Chennai do spędzania wolnego czasu na tym „radosnym”, nadmorskim śmietniku?

## **Dobry, stary Aśhok Leyland**

Najczęściej używanym przez mieszkańców środkiem komunikacji publicznej są autobusy (kiedy piszę ten tekst metro jest w remoncie). Codziennie wysłużone *Aśok Leyland* w kolorze brązowo-kawowym dowożą do pracy i szkół dziesiątki tysięcy ludzi. Bilety są bardzo tanie, od kilku do kilkunastu rupii (kilkadziesiąt groszy), dlatego w godzinach szczytu bywają niebywale zatłoczone, choć niezmiernie rzadko spotyka się „ludzkie grona” przyklepione do wszystkich możliwych uchwytów, tak jak to się jeszcze dzieje w podmiejskich pociągach do stacji *Chennai-Egmore*. Policja wyłapuje takich ryzykantów i wlepia im wysokie - jak na Indie - mandaty.

Europejczyka może zdziwić, że drzwi autobusu nawet w czasie jazdy są ciągle otwarte. Przyczyna jest bardzo prosta. Bardzo często, z powodu tłoku, nie wszyscy pasażerowie mogą wysiąść na danym przystanku, bo autobus zatrzymuje się na nich na bardzo krótko. Mają zatem następną szansę, kiedy zwolni albo zatrzyma się na czerwonym świetle. To samo dotyczy wsiadających. Poza tym jest to też naturalna klimatyzacja. Zwłaszcza w upały, które mogą tu dochodzić nawet do 35 stopni.

A co z pasażerami na gapę, których w takiej sytuacji może być sporo? To raczej wykluczone. W autobusie jest konduktor. Czasami dwóch. Bacznie kontrolują, kto wysiada i kto wsiada sprawnie inkasując pieniądze i wydając bilety. Zawsze mnie zadziwiają ich prestigitatorskie umiejętności pozwalające na trzymanie - między palcami - banknotów o różnym nominale.

Zachodniego turystę przyzwyczajonego do aż nazbyt sterylnej czystości mogłaby zaszokować podłoga autobusu przykryta grubym „dywanem” śmieci: łupin po orzeszkach ziemnych, skórek bananów i pomarańczy i wszelkiego innego paskudztwa, którym można zaśmiecać przestrzeń publiczną. Trochę to dziwi, bo sami pasażerowie są raczej czystszy i schludnie ubrani. To samo zjawisko widać na ulicach i w budynkach użyteczności publicznej takich jak sklepy, restauracje, banki itd. Nie mówiąc o terenach zamkniętych osieli czy mieszkań lub domów. Ulice, a zwłaszcza rynsztoki i chodniki, toną pod zwałami śmieci, zaś wchodząc do wypucowanego i klimatyzowanego sklepu czy prywatnego domu trzeba zdejmować przed wejściem buty.

Może wynika to z faktu, że Hindus nie zna pojęcia przestrzeni publicznej, jak twierdzi mój indyjski znajomy. „*A skoro nie zna, to czemu ma ją szanować i przestrzegać porządku*” - dodaje. Dlatego wątpi w sukces kampanii „*Clean India*” zainicjowanej przez premiera Narendrę Modiego, którą wsparło już wielu indyjskich celebrytów, jak choćby aktorzy Sharrukh Khan, Aminathab Bacchan, czy bożyszcze całych Indii, krykiecista Sachin Tendulkar. Coś jest na rzeczy w jego wyjaśnieniu, bo największą górę odpadów widziałem pod wielkim billboardem promującym tę kampanię przy *Anna Salai Road*, jednej z głównych arterii miasta, oraz przed okazałymi willami w dzielnicy *T. Nagar*.

Inną przyczyną jest przekonanie Hindusów z wyższych *waran* czyli braminów, rycerzy i kupców oraz kast (*dźati*) że „nieczyste” prace, takie jak np. sprzątanie i wywóz nieczystości, należą do „niedotykalnych”. Pisze o tym w swojej biografii Mahatma Gandhi relacjonując zjazd Indyjskiego Kongresu Narodowego w 1901 roku. Od tego czasu w mentalności jego rodaków niewiele się zmieniło, choć podział na kasty oficjalnie nie obowiązuje od 1947 roku. W praktyce, zwłaszcza na wsi, jest nadal przestrzegany.

*„Nawet tu musiałem się blisko zetknąć z zagadnieniem 'niedotykalnych'. Warunki sanitarne przechodziły wszelkie pojęcie. Było zaledwie kilka ustępów, a na samo wspomnienie smrodu, jaki bił stamtąd, robi mi się niedobrze. Pokazałam to wszystkim wolontariuszom, ci zaś odpowiedzieli po prostu 'To do nas nie należy, to robota asenizatorów'.”* („Autobiografia”, wyd. Książka i Wiedza, 1958, str. 265)

Mimo wszystko jest coś magicznego w indyjskich autobusach. W pociągach zresztą też. To poczucie wspólnoty z innymi pasażerami, którzy często dopytują: *Skąd jesteś? Gdzie jedziesz? Co robisz w ich kraju?* Czasami są zbyt natarczywi. Czasami zbyt głośni. Nigdy jednak nie zostawią cię bez pomocy. Lepsze to, niż kompletna anonimowość, której doświadcza się na Zachodzie, gdzie człowiek jest monadą, bez oczu i uszu, zamkniętą na relacje z Bliźnim.

## **O ewolucji i Trójcy Świętej w autobusie linii 599**

Rozklekotany *Ashok Leyland* linii 599 z *Mahabalipuram* do Chennai wytoczył się z przeraźliwym skrzypieniem za *Kovalam* na *East Coast Road*. Do dworca w *T. Nagar* zostało ponad 30 km i prawie godzina jazdy. Przez otwarte drzwi i okna wpadała od Zatoki Bengalskiej przyjemna bryza chłodząc w naturalny sposób rozgrzane ciała pasażerów. Głównie dzieci wracające ze szkoły, które podjeżdżały po 2-3 przystanki, ale też pary poszukujące wrażeń w mieście na sobotni wieczór.

Jechał z nami od początku. Miał może z 50 lat. Wyglądał na nauczyciela albo urzędnika. Był bardzo gruby i przez cały czas od Mahabalipuram rozmawiał przez komórkę. A właściwie pomrukiwał, postękiwał, potakiwał po tamilsku. Oczywiście nie rozumiałem niczego. Domyślałem się raczej znaczenia wypowiedzianych zdań po intonacji głosu i minie, jaką przy tym robił. Kiedy walnął mnie, z podekscytowania a może irytacji, łokciem w bok, zaprotestowałem głośno. Wtedy, nie przerywając rozmowy, spojrzął na mnie, jakby nagle do niego dotarło, że nie jest sam w autobusie. Myślałem, że się wkurzył, ale nie. Zakończył rozmowę i grzecznie zapytał trochę archaiczną angielszczyzną - „A z jakiej części świata pan jest?”

Zdziwiłem się, bo na ogół tubylcy pytają mnie „Gdzie mieszkasz?” - mając na myśli konkretny kraj. A ten zajechał mi z „częścią świata”. Spokojnie więc mu wyjaśniłem, że jest taki kraj, Polska, położony pośrodku Europy pomiędzy Niemcami a Rosją, Ukrainą i Białorusią. „To nie jesteście częścią Wspólnoty Brytyjskiej i nie rządzi wami królowa?” - dopytywał. „Jezu! Czyżby w czasie mojej nieobecności w kraju zaszły jakieś zmiany i jesteśmy monarchia konstytucyjną, a na dodatek częścią Zjednoczonego Królestwa?” - pomyślałem z lekkim przestraszaniem. Uspokoilem się dopiero wtedy, kiedy mój tamilski rozmówca, w kolejnym pytaniu, Portugalię umiejscowił pod Szkocją. A dalej było jeszcze ...jakby to powiedzieć... intensywniej, dziwniej, absurdalnie.

Kiedy tematy geograficzne nam się już skończyły, przeszliśmy, a właściwie to on przeszedł, na tematy religijne. Jak już wy dobył ze mnie, że jestem katolikiem i to na dodatek rzymskim, przyparł mnie do muru pytaniami - „A co Watykan mówi o teorii Darwina, że człowiek pochodzi od małpy? A ty wierzysz, że to Bóg stworzył pierwszych ludzi, Adama i Ewę?”

Kiedy już poprzez huk z ulicy dotarł do mnie sens jego pytania, miałem wrażenie, że przez chwilę zdezelowany autobus linii 599 unosi mnie na wyżyny kompletnego absurdu. No, bo jak inaczej opisać sytuację, w której z przygodnie poznanym mieszkańcem Chennai dyskutuję, po angielsku, na tematy teologiczne. Odparłem, że, zasadniczo, ewolucja jest do pogodzenia z kreacjonizmem, jeśli się przyjmie, że akt stworzenia nie trwał 7 dni - jak opisuje Biblia - tylko był procesem trwającym miliony lat.

Nie wiem, czy dobrze zrozumiał moją odpowiedź, bo z chytrym uśmiechem na twarzy przygwoździł mnie następnym pytaniem - „A ty wierzysz w to, że pochodzisz od małpy?” - Tego już było za dużo. Nawet jak dla mnie. Przyzwyczajonego do „dialogów na cztery nogi” na różne kontrowersyjne tematy. Spojrzałem wzrokiem proszącym o wsparcie na konduktora międlącego między palcami harmonijkę poskładanych - idealnie na połowę - banknotów dziesięciorupiiowych. Pozostał niewzruszony jak Budda. Pewnie dlatego, że nie rozumiał ani słowa z naszej nieskładnej gadaniny.

Nieco już poirytowany, tak pytaniami natrętnego pasażera, jak i ulicznym hałasem wdzierającym się wraz z kurzem do autobusu, odparłem, że - „Wierzę w stworzenie świata przez Boga. Nikt jednak nie wie, jak to się stało, a słów Biblii, że w 7 dni, nie można brać dosłownie. To obrazowa alegoria, którą należy interpretować poprzez kontekst czasowy i geograficzny. Tak jak wasze święte księgi - 'śruti' - zapisane w kanonie wedyjskim.” - Podkreśliłem, gestykulując przy tym rękoma dla wzmocnienia przekazu. Wydawało mi się przez moment, że użyłem dobrego argumentu, by go przekonać, że kreacjonizm wcale nie musi być sprzeczny z teorią ewolucji Darwina, bo zamilkł na chwilę. Robił za to „młynki” palcami dłoni złożonymi na bardzo wydatnym brzuchu i głośno wzdychał jak mała lokomotywa parowa.

Coraz bardziej wzmożony ruch uliczny, korki i kakofonia klaksonów sygnalizowały, że jesteśmy już w mieście, w okolicach Adyar. Jednej z wielu dawnych wiosek tworzących dziś monstrualną pajęczynę Chennai. Zmęczenie upałem i jazdą dawało się wszystkim pasażerom we znaki. Wielu podsypiało z głowami wspartymi na poręczach siedzeń albo na ramieniu sąsiada. Dwie starsze kobiety na siłę upychały w płóciennym torby, puste, plastikowe butelki po napojach oraz aluminiowe menażki, z których jadły przed chwilą ryż z *dalem*.

Ospale spoglądałem na strumień mijających nas pojazdów i witryny sklepów, mając nadzieję, że to pozwoli mi zorientować się w topografii miasta. Nagle pytanie mojego uciążliwego teologa amatora - "To w ilu bogów

wierzysz, bo wasza religia mówi, że jest jeden, ale w trzech osobach?" - uderzyło w mnie jakby ktoś obuchem dał mi w głowę. Zrobiłem minę z kategorii „odpuść mi facet, bo mam już cię dosyć”, ale resztkami sił szukałem jakiejś sensownej odpowiedzi na pytanie, które dla chrześcijanina jest jedną z tajemnic wiary. Niepojętą dla ludzkiego rozumu. Ten jednak nie czekał na moją odpowiedź i skonstatował - „*Bóg Ojciec posłał swojego Syna na ziemię, aby ten przez swoją śmierć na krzyżu zbawił wszystkich ludzi. Nieprawdaż?*” - Przytaknąłem głową.

„*No, a gdzie się podział ten trzeci, no, ten Duch Święty? I jak to możliwe, że Ktoś może być w trzech osobach?*” - Dobijał mnie, śmiejąc się przy tym rubasznie. Udałem, że go nie rozumiałem wlepiając wzrok w podłogę zaśmieconą łupinami z orzeszków ziemnych. Gwizdek konduktora i nagle szarpnięcie uzmysłowiły mi, że autobus zatrzymał się na kolejnym przystanku. Mój niestrudzony rozmówca z wyraźnym wysiłkiem poderwał swoje ponad stukilogramowe ciało z siedzenia. „*Powodzenia życzę*” - powiedział i wyciągnął w moim kierunku dłoń zabarwioną na czerwono betelową śliną. Pożegnałem się z nim skinieniem głowy. Po wyjściu z autobusu na *T. Nagar Terminal Bus Station* jeszcze długo słyszałem jego drwiący śmiech. „*Jeden Bóg w trzech osobach. Ha! Ha! Ha! To niemożliwe!*”

## **Prasowacz Arun**

Jego cały majątek to ważące z 5 kg żelazko z „duszą” i zbita z desek buda. Pracuje w tym samym miejscu, czyli przy *North Boag Road*, od 12 lat. „Odziedziczył” to miejsce po ojcu, który też był prasowaczem, nie żyje od 6 lat. Praca jest bardzo ciężka a do tego ten uliczny hałas i zawieszista, gęsta chmura smogu wdzierająca się każdą porą ciała. Nie narzeka jednak, bo dzięki niej może utrzymać rodzinę, żonę i trójkę dzieci. Ma na imię Arun i jest jednym z wielu ulicznych rzemieślników pracujących na ulicach Chennai.

Trudno mi po wyglądzie określić jego wiek. Twarz zryta zmarszczki, ale bardzo umięśnione ręce i nogi. Szacuję, że może mieć pomiędzy 45 a 50 lat, choć wielu Tamilów, z którymi rozmawiałem w Chennai, wyglądało o wiele starzej z powodu ciężkiej pracy, chorób i fatalnych warunków socjalnych, w jakich żyją. Arun marzy o tym aby najstarszego i - jego zdaniem - najzdolniejszego syna posłać do *collage*. „*Niech ma lepiej ode mnie. Jak będzie wykształcony szybciej znajdzie dobrą pracę. Może nawet w urzędzie albo policji. Stała pensja, ubezpieczenie i emerytura.*” - Rozmarza się przesuwając żelazkiem po brązowym *dhoti*.

Jak wygląda jego zwykły dzień? Zwyczajnie. Wstaje o 6 rano. Na śniadanie wypija herbatę zagryzając ciastkiem, bananem lub *samosą* kupionymi u „sąsiada” z przeciwnej strony ulicy. Potem rozgrzewa „duszę” żelazka w piecyku opalonym węglem drzewnym. Trwa to nawet godzinę. Potem może już prasować. Najlepiej mu się pracuje do południa i wieczorem, kiedy nie ma takiego upału, który w południe dochodzi czasami do 32 stopni. I to w grudniu. W lutym i marcu jest jeszcze gorzej. Bywa nawet i 35 stopni. Bierze od „sztuki” 6 rupii czyli ok. 32 groszy. Klientami są głównie okoliczni mieszkańcy z wyjątkiem tych z klasy średniej i bogatych. Ci mają własną służbę i nie muszą korzystać z jego usług.

„*Kto konkretnie? Pracownicy okolicznych sklepów, restauracji, rodzinnych zakładów rzemieślniczych, kierowcy autobusów i autoriksz, ochroniarze. Bywają nawet policjanci i wojskowi.*” - Dodaje z dumą. Jego dzienny zarobek to ok. 300 rupii czyli jakieś 15, 16 złotych. Wszystko zależy od liczby klientów i ilości dostarczonej przez nich odzieży. Kiedyś zdarzyło mu się, że jedna z rodzin przed ślubem jedyne go syna dała mu do prasowania ponad 400 sztuk. Koszule, *sari*, obrusy, bieliznę itd. Na realizację zlecenia miał tylko jeden dzień. „Ale udało się” - dodaje. „*Dostałem nawet 50 rupii napiwku*” - podkreśla z dumą.

O czym marzy? O tym, aby zarobić na wynajęcie jakiegoś pomieszczenia, do którego mógłby przenieść swój „zakład”. Byłoby mu lepiej, zwłaszcza w czasie trwającej kilka miesięcy pory monsunowej. Wtedy z powodu ulewnych deszczy musi zamykać swój interes. „*A to duża strata*” - zasepia się paląc otrzymanego ode mnie *kingstona*, bo normalnie pali *bindi*, tradycyjne indyjskie papierosy skręcane z liści drzewa *tendu* i wypełnione płatkami tytoniu. 5 rupii za 10 sztuk.

Opowieść o Chennai mógłbym ciągnąć jeszcze bardzo długo, bo tak jak miasto jest okropne, tak ludzie w nim mieszkający są fascynujący. Życzliwi, pracowici, pogodni, pomimo ciężkich warunków, w jakich wielu z nich żyje. Zresztą, jak pisze V.S. Naipaul w prologu do "Poza wiarą" - *"Dla pisarza najważniejszą rzeczą w podróży są ludzie, których napotkał na swojej drodze."* Arun, Surash, Rajendra i wielu, wielu innych powiedziało mi więcej o współczesnych Indiach, niż niejedna książka czy film. Składam im za to moje wyrazy wdzięczności.